



FUNDACJA

Moje Wojenne Dzieciństwo



Halina Karny

Na granicy życia

W dniu 14 czerwca 1941 roku do naszego domu w Sobkiszkach wtargnęli czterej uzbrojeni oficerowie NKWD, a z nimi jeden cywil z czerwoną opaską na ramieniu (miejscowy Żyd – nazywał się Pomeranc). Ojca od razu aresztowali. Trzymając go pod bronią zaczęli rewizję. Zabrali medale i odznaczenia ojca (był zawodowym podoficerem – komendantem posterunku żandarmerii) oraz wiele cennych rzeczy. Kazali nam zabrać przedmioty osobiste, załadowali na wóz i zawieźli na stację kolejową. Stały tam już przygotowane wagony towarowe, do których nas wpakowali. Ojca i innych mężczyzn umieścili od razu w innych wagonach. Dowiedzieliśmy się później, że wywieziono ich w głąb syberyjskiej tajgi do wyřębu lasu. Kobiety z dziećmi, w tym i nas, tj. mamę (36 lat), brata (14 lat) i mnie (13 lat) załadowano do bydłowych wagonów i w strasznym tłoku, zaduchu, prawie bez jedzenia i wody wysłano na wschód.

Po dwóch tygodniach męczącej podróży dotarliśmy na Syberię do miasta Barnauł. Tam wyładowano nas do namiotów, w których były już przygotowane zbite z desek piętrowe prycze. Tam w ciasnocie musieliśmy egzystować. Kobiety zaraz pognano do katorżniczej pracy w cegielni. Aby dostać 500 gramów chleba musiały wyrobić normę. Dzieci dostawały 200 gramów chleba. Przebywaliśmy tam pod ciągłym dozorem NKWD.

W sierpniu 1941 roku dowiedzieliśmy się o zawartym porozumieniu między rządem polskim reprezentowanym przez generała Władysława Sikorskiego i Stalinem. Na mocy tego porozumienia ogłoszono dla nas amnestię. Władze sowieckie zaczęły stopniowo zwalniać Polaków z więzień i łagrów. Pozwolono nam przenosić się do innych rejonów, zwłaszcza na południe, gdzie były lepsze warunki klimatyczne. W Barnaule w grudniu mróz dochodził do 50 stopni.

Pod koniec grudnia odnalazł nas zwolniony z łagru ojciec. Udało nam się wyjechać z Barnaulu i po wielu trudach dotrzeć do Kazachstanu. Zamieszkaliśmy w kolchozie. Niestety, niedługo byliśmy razem. W maju 1942 roku ojciec – wyniszczony i osłabiony pobytem w łagrze – zachorował na tyfus, a po wystąpieniu komplikacji zmarł. Zabrakło fachowej opieki i leków...

Jako rodzina wojskowa mogliśmy wyjechać z Armią generała Andersa do Iranu, ale niestety w tym czasie nasza mama była ciężko chora, wyczerpana z głodu. Zabrali ją do szpitala w Merke z podejrzeniem tyfusu brzuszego. Tam ułożono na ziemi, gdzie już leżało bardzo dużo ludzi – przeważnie Polaków – jeden przy drugim. Nie dawano żadnych leków, a jedynie przy biegunce podawano zupę z suszonej kapusty.

Mama zmarła 3 września 1942 roku. Zostaliśmy zupełnie sami – ja w wieku 14 lat i brat, wówczas 15-letni chłopiec. Było nam bardzo ciężko. Nastąpiła zima. W nocy mróz i śnieg, w południe, jak słońce

przygrzało – błoto. Żeby przeżyć chodziliśmy na pole kolchozowe i wykopywaliśmy zmarznięte buraki cukrowe. Było to zajęcie nielegalne, chociaż pozostawione tam buraki pewnie i tak prędzej czy później by pogniły. Były jednak własnością kolchozu i gdyby nas złapano to trafilibyśmy pod sąd, a następnie do łagru. Pamiętam jak kiedyś szliśmy po te buraki na pole (zima, mróz) z grupką Polaków. Wszyscy tak osłabieni, że nie mogliśmy nawet wejść na niewielką górkę, aby dojść do celu. Tam właśnie, w połowie drogi, zmarła nasza współtowarzyszka. Chłopcy z trudem wykopali płytki rów i tam ją pochowaliśmy. Nazywała się Wanda Chojnacka.

Latem zrywaliśmy pokrzywę i lebiodę na obiad. Wiosną na stepie rosły piękne, dzikie tulipany. Miały grube korzenie, żółte jak marchew. Były trochę gorzkie, ale jedliśmy je.

W 1943 roku mój brat ciężko zachorował. Zabrali go do szpitala na oddział zakaźny. Podejrzewano, że jest to tyfus, a dopiero później okazało się, że malaria. Ja pracowałam wtedy w kolchozie. Był to okres żniw. Kazali mi żąć pszenicę sierpem i musiałam wyrobić normę. Nie umiałam wykonywać tej pracy, a do tego byłam osłabiona z głodu, bo nie dawali żadnego jedzenia. Zapisywali jako zapłatę tzw. „trudo dni”, za które wypłatę mieliśmy dostać w naturze, ale dopiero na jesieni. Upał był straszny. Osłabiona, z krwotokiem z nosa, nie byłam w stanie tego wytrzymać. Zeszłam więc z pola. W swojej lepiance miałam trochę mąki. Ugotowałam ją z wodą i poszłam zanieść ten posiłek bratu do szpitala. Następnego dnia skazano mnie za sabotaż na roboty i wysłano do kopalni węgla do Karagandy.

Trzy dni siedziałam w jakiejś szopie z innymi kobietami w oczekiwaniu na transport. Było nas kilkanaście, w tym trzy Polki. Po trzech dniach dowieziono nas wozem otoczonym Kazachami na koniach do najbliższej stacji kolejowej. Kiedy przejeżdżaliśmy przez rynek w mieście Merke, wyskoczyłam z wozu i zaczęłam uciekać. W szalonym pędzie wbiegłam do jakiegoś urzędu. Mijałam korytarze, pokoje, aż znalazłam się – jak się później okazało – w gabinecie prokuratora. Za mną wpadła sekretarka z krzykiem, że do gabinetu wbiegła jakaś wariatka („sumaszedszaja”). Ja zdyszana i przerażona też zaczęłam krzyżeć do prokuratora, że nie jestem wariatką. Zapytałam go czy zna konstytucję stalinowską, bo oto mnie – 15-letnią dziewczynę, za to, że głodna nie miałam siły pracować, skazano za sabotaż na roboty do kopalni węgla do Karagandy. A przecież w konstytucji jest napisane, że na takie roboty można skazywać od lat 16. Przez łzy mówiłam jak cała moja rodzina jest gnębiona przez władzę sowiecką, że nas wywieźli, rodzice nie żyją, a brat umiera w szpitalu i on też zginie jak mnie wywiozą, bo nie doniosę mu czegoś do jedzenia. Wszystko to opowiadałam po rosyjsku. Podejrzewałam, że prokurator był z pochodzenia Polakiem, może też wcześniej przesiadłym, bo powiedział mi potem, że zna Wileńszczyznę sprzed rewolucji. On mnie uratował. Przetrzymał w swoim gabinecie aż transport odszedł. Przyrzekłam mu dochowanie tajemnicy.

Po tym wydarzeniu trzeba było ciągle się ukrywać. Kiedy brat wyszedł ze szpitala zamieszkaliśmy razem w Merke. Było bardzo ciężko, ale w końcu zaświtała nadzieja na przeżycie. Jesienią 1944 roku w Dżambule została utworzona polska szkoła z internatem. Udało nam się tam pojechać. Zostaliśmy przyjęci do szkoły i do internatu. Zaczęliśmy się uczyć, mieliśmy dach nad głową i zapewniony byt. Tam, w szkole, dowiedzieliśmy się o zakończeniu wojny, ale dopiero w maju 1946 roku powróciliśmy do Polski.